

86 w 2019 (223)

Szabeleccki, proporczyki...

Data publikacji: 25.11.2019 / Autor: Dyzma Zawadzki

Niegdyś, podczas zajęć na mojej alma mater, usłyszałem pewną opinię o polskich konserwatystach, wyrażoną zresztą przez człowieka konserwatyzmowi bliskiego. Określił ich zainteresowanie historią jako płytkie intelektualnie, skupione na takich symbolach jak “szabeleccki, proporczyki” – czyli innymi słowy na wyliczaniu numerów i odznak pułków ułanów, zamiast na zastanawianiu się, dlaczego udziałem Polaków stało się sławetne wrzesniowe lanie. Opinia może nie do końca sprawiedliwa dla bardziej zachowawczej części sceny politycznej, ale niewątpliwie czasami niezwykle trafna.

Honory

Również duża część harcerzy, instruktorów harcerskich, identyfikuje się z konserwatywnym czy tzw. “prawicowym” spojrzeniem na rzeczywistość. Nieobcy im jest więc szacunek dla tradycji, przywiązanie do symboli, flagi państwowej, sztandarów. I oczywiście harcerze również potrafią doprowadzić ten szacunek do granicy, po której przekroczeniu stają się śmieszni.

Zaczyna się to bardzo wcześnie, jeszcze w drużynie. Do drużynowego tylko per “druhu”, proporca nikt dotknąć poza proporcowym nie może, sakralizacja ogniska doprowadzona do granic absurdu (odsylam do swojego [tekstu o strażnikach ognia](#)). Dla nowego harcerza często są to prawa niezrozumiałe, co utrudnia mu ich akceptację. Nie wspominam nawet o starszych chłopcach, który wstąpiwszy do drużyny na przykład w liceum spotyka się z tak nietypowymi “tradycjami” – pierwsze co robi, to zapyta: “dlaczego?”.

Tę potrzebę tworzenia relikwii zaspokajamy i dalej, często otaczając niezrozumiałym kultem osoby pełniące funkcje komendanta chorągwi, naczelnika, przewodniczącego. Pamiętam naszą mazowiecką anegdotę o nożu od “mojego naczelnika” (przez wielkie “M” i “N”), który w oczach jednego z instruktorów był czymś niezwykle ważnym, a nas to uwielbienie równie niezwykle bawiło. Byliśmy złośliwi, owszem, ale... nadal uważam to za nieco zabawne. Z lokalnego podwórka: jeden z mazowieckich komendantów zapytał kiedyś kursantów, wokół jakiego symbolu powinni jednoczyć się instruktorzy chorągwi – pierwszą odpowiedzią wielu z nich był „sztandar”, ale okazało się, że komendant myślał... o sobie, czyli o „komendancie” (szkoda, że bez kasztanki). Sam nierzadko widuję w popularnych serwisach społecznościowych posty zawierające zdanie: „udział wziął sam naczelnik

harcerzy„, co bawi mnie niemal tak samo.

Tymczasem w przypadku tzw. „autorytetów”, śmieszność rośnie odwrotnie proporcjonalnie do wieku i doświadczenia danego instruktora. Kto brał udział w wyborach, w poszukiwaniu kandydata, ten wie, że często funkcje w harcerstwie obejmują ludzie, którzy mogą, a nie ludzie, którzy najlepiej się do tego nadają. Nie zawsze jest to złe, bo są ważniejsze funkcje od Głównej Kwatery (na przykład wszystkie drużyny), ale jest to fakt. Ciężko więc oczekiwać, że wszyscy będą z uwielbieniem podchodzić do szefa wszystkich szefów (nie wspominając nawet o tym, że siłą rzeczy „mój kandydat” będzie zawsze tym lepszym kandydatem, nawet po przegranych wyborach).

...jeden z mazowieckich komendantów zapytał kiedyś kursantów, wokół jakiego symbolu powinni jednoczyć się instruktorzy chorągwi – pierwszą odpowiedzią wielu z nich był sztandar, ale okazało się, że komendant myślał... o sobie, czyli o „komendancie”

Zdrowe podejście do przełożonych możemy znaleźć w drużynie. Tam każdy może się przekonać, że chłopcu nie imponuje skórzany sznur naczelnika (ani żaden inny sam z siebie). Jest posłuszny, bywa karny, ale to nie znaczy, że tego obcego faceta, którego widzi podczas turnieju czy kursu, darzy jakimś szczególnym szacunkiem.

Sam się o tym boleśnie przekonałem, po paru latach od przekazania drużyny, gdy obecni harcerze (ci najmłodsi) nie znając mnie, traktowali mnie jedynie w kategoriach osoby dorosłej, a nie jeszcze niedawnego drużynowego. Bo też właściwie czemu mieliby traktować mnie inaczej, podczas obozów i turniejów prowadzili ich już moi następcy. Nie było łatwo to zaakceptować, ale innego wyjścia nie było.

Autorytet

Autorytet wykuwa się w działaniu, wśród tych, którzy to działanie widzą. Dlatego osoby o największym autorytecie to drużynowi. Żaden instruktor nie widzi w „szarżach” takiego autorytetu, jaki widzi harcerz w swoim drużynowym. Oczywiście, autorytetu nabiera się wraz z wiekiem i osiągnięciami na polu harcerskim – ale trzeba sobie na to zapracować. I niech tak pozostanie!

Dlatego w organizacji takiej jak ZHR najważniejszy jest duch braterstwa wśród instruktorów. Bo braterstwa i autorytetu nigdy nie zastąpią rozkazy. W organizacji, której członkowie działają całkowicie dobrowolnie i społecznie, komunikowanie się za pomocą rozkazów, pism i paragrafów regulaminów w sprawach innych niż

całkowicie formalne, jest groteskowe i zakrawa o śmieszność.

A z autorytetem bywa właśnie tak, że jeśli komuś podwładni autorytetu odmawiają (bo jeszcze na niego nie zasłużył), to pojawia się pokusa wymuszenia posłuchu i dyscypliny z wykorzystaniem przyznanej władzy. Błąd wielu drużynowych (także i mój), szczególnie na początku: "jestem drużynowym, więc powinniście wykonywać moje polecenia", ale także niektórych instruktorów pełniących wyższe funkcje.

W skrajnej formie, gdy błądzi drużynowy, przybiera to postać "tyrania", alarmów ciężkich, pompek, stawiania na "baczność". Tym instruktorom, którzy popełniają taki błąd z młodości, życzę szybkiego nabrania doświadczenia (chyba każdy przechodzi taki etap), natomiast tym, którzy pomimo bogatego doświadczenia i wielu lat wysługi nadal przedkładają rozkaz nad prośbę, komendę nad rozmowę i musztrowanie ponad grę mam jedną rzecz do pokazania.

Natomiast ponad drużyną, wśród instruktorów, w sprawach organizacyjnych, pojawiają się pokusy ograniczenia do minimum samodzielności "podwładnych". Zapomina się o tym, że hufcowego wybierają instruktorzy spośród siebie! Primus inter pares – ale ten prymat hufcowego to przede wszystkim rola służebna wobec pozostałych instruktorów. Stąd w ogóle ciężko mówić o "podwładnych".

Może i w regulaminie napisane jest, że hufcowy zatwierdza plan pracy, powołuje drużynowych, kapituły. Ale to nie jest jego zadanie, to nie są jego uprawnienia, nie może sobie swobodnie żonglować swoim hufcem, lepić go z plasteliny. To w korporacji możemy sobie mieszać działy, łączyć je, przesuwać pracowników – w harcerstwie mamy odrębne środowiska, kompetentnych (zwykle równie, albo i bardziej od swoich przełożonych) ludzi pełniących funkcję drużynowego – trzeba to uszanować, bo inaczej zabija się harcerstwo i przerabia je na bezkształtną masę.

Kompetencje hufcowego (czy jakiegokolwiek innego "przełożonego") to określenie pola jego służby, nie władzy. Poniżej słowniczek – tłumaczenie z języka regulaminowego na harcerski:

"zatwierdza plan pracy" -> *pracuje z drużynowym, by pomóc mu stworzyć dobry plan pracy dla drużyny*

"powołuje drużynowych" -> *upewnia się, czy poprzednik przemyślał wszystkie kwestie związane z wyborem następcy*

"powołuje kapituły" -> *stara się, by pracę wychowawczą prowadziły z chłopcami osoby, którym chłopcy ufają i których szanują, znając ich postawę*

Inna interpretacja niepokojąco przypominać będzie "falandyzację" regulaminów. Kiedy przez wypaczoną wykładnię regulaminów w powiązaniu z posłuszeństwem przełożonym zmienia się harcerstwo w zautomatyzowaną strukturę, kadrową

organizację, pogotowie wojenne, nie wiem co jeszcze.

Tymczasem cała ta struktura powstała po to, żeby wspierać pracę w drużynie, żeby stworzyć jej pewne ramy i ułatwić planowanie tej pracy.

Nie da się inaczej, niż przez braterstwo, funkcjonować w organizacji, w której harcmistrzowie bywają "podwładnymi" przewodników, w której spośród równie kompetentnych wybiera się na hufcowego tego, który akurat może poświęcić trochę więcej czasu innym. W dużych organizacjach, partiach politycznych, samorządach zawodowych jest podobnie – rzadko kiedy ci najwybitniejsi, najzdolniejsi fachowcy obejmują stanowiska kierownicze. Dlaczego? Dlatego, że sprawdzają się w tym co robią, a kierowanie strukturami organizacji wymaga zupełnie innych zdolności, niż prowadzenie drużyny harcerzy.

Symbole władzy

Na koniec chciałbym wrócić do samych "szabeleczek i proporczyków". Jesteśmy wszyscy przywiązani do pewnej symboliki, do różnych rytuałów. Trzeba jednak pamiętać, że generalnie wartość przedmiotów symbolicznych, takich jak sztandary jednostek, buława drużyny RP, różnorakie szable i tarcze, a także naszywki, leży wyłącznie w naszym do nich podejściu. Srebrny, złoty, skórzany – to tylko kawałek sznurka. Nie można za niego kupić szacunku i poważania, ani liczyć na to, że każdego wywołamy wzruszenie.

Bliskie jest mi zdanie Jeana Raspaila (którego twórczością się ostatnio delectuję), które odnosi się co prawda do tradycji związanych z wiarą, ale łatwo je przełożyć na harcersko-patriotyczną symbolikę: *"Tradycje nie są fundamentem, a jednak są niezbędnym szkieletem. Gdy się je zlekceważy, fundament się kruszy. (...) Z tradycjami oczywiście nie wolno żartować, ale też nie trzeba ich ubierać w zbyt oficjalny strój, bo wtedy popada się w śmieszność."*

Drugie zdanie zaczerpnę z jednej z jego książek: *"Prawdziwymi miłośnikami tradycji są ci, którzy nie traktują jej poważnie i uśmiechają się, maszerując na wojenkę, gdyż wiedzą, że umrą za coś nieuchwytnego, co wywodzi się z ich własnych złudzeń. Może to bardziej subtelna kwestia: może jest to fantazja skrywająca zażenowanie szlachetnego człowieka, który nie chce narazić się na śmieszność, bijąc się za jakąś ideę, więc ubiera ją w rozdzierające dźwięki trąbki, głębokie słowa, bezużyteczne ozdoby i pozwala sobie na radość z tej karnawałowej ofiary. Tego właśnie lewica nigdy nie potrafiła zrozumieć i dlatego pozostaje tylko nienawistną kpiną. Gdy pluje na sztandar, szcza na płomień wspomnień, szydzi z kombatanów maszerujących z odznaczeniami w klapie, by nie wymieniać już innych "akcji" – czyni to w żałośnie poważny sposób, "kretyński", jak powiedziałaaby sama o sobie, gdyby miała zdolność uczciwej samooceny. Prawdziwa prawica nie jest poważna. Dlatego lewica*

jej nienawidzi, trochę tak, jak kat nienawidziłby swej ofiary, która śmiałaby się i kpiła sobie z niego przed śmiercią. Lewica jest jak pożoga, która wszystko pochłania i pożera na ponuro. Wbrew pozorom, jej święta są równie smutne, jak owe defilady pajaców w Norymberdze czy Pekinie. Prawica natomiast jest ruchliwym płomieniem, który swawolnym ogniem tańczy wesoło w mroku zwęglonego lasu”.

Prawica czy lewica – nieważne. Nie o to tu chodzi, chodzi o to, by zachować zdrowy dystans do symboli, także symboli pewnej władzy i hierarchii. Bo traktując je zbyt poważnie i dosłownie nie tylko narazimy się na śmieszność, ale także spowodujemy wśród negujących wszystko chłopców bunt przeciwko symbolom, a co za tym idzie także wartościom, jakie one symbolizują.

Świeckie relikwie w rodzaju noża, o którym pisałem wcześniej, niosą w sobie tylko taki ładunek emocji, jaki pojawia się u ich odbiorcy. Oznacza to, że dla kogoś niezwiązanego z daną rzeczą, pozostanie ona jedynie martwym przedmiotem, dopóki ów ktoś nie pozna opowieści kryjącej się za tymże przedmiotem. Co za tym idzie, eksponowanie podczas wydarzeń dostępnych dla osób trzecich (także w mediach społecznościowych) tego typu “relikwii” (proporców, noży, flag otrzymanych od Prezydenta) nie spowoduje na pewno, że więcej ludzi zacznie je postrzegać w taki sposób. Bardziej prawdopodobne jest, że staniemy się obiektem żartów.

Przesadny pęd do honorów przypomina niekiedy afrykańskich watażków, którzy sami siebie mianują marszałkami, cesarzami, generalissimusami i wkładają różnokolorowe mundury, kapiące od złota. Tym śmieszniejsi, im bardziej fikcyjnym państwkiem rządzą, tym bardziej makabryczni, im bardziej okrutni.

Proporzec drużyny należy otaczać szacunkiem, jego dźwiganie powinno być wyróżnieniem (ale też bez przesady), natomiast zakaz jego dotykania przekracza już pewną granicę. Z tego samego powodu nie uważam, żeby schowanie rogatywki do kieszeni spodni było wielką ujmą dla harcerskiego honoru i pokoleń bohaterskich harcerzy z Szarych Szeregów (choć każdy chyba przyzna, że taka zmięta rogatywka niezbyt ładnie się prezentuje). “*W mundurze się nie leży*” – no a właściwie czemu nie, skoro to mundur skautowy i z założenia służyć ma do harców?

Warto się zastanowić, czy, jak w przypadku ognisk, nie przesadzamy z “sakralizacją” różnych aspektów harcerskiego życia i nie ulegamy ułudzie posiadania „władzy” wynikającej z tego, że nosimy zielone stroje. Posługując się słowami poety: byle nie było tak, że kochamy się w honorach, nie znając się z honorem!

W ZHR w latach 2003-2018, przeszedł ścieżkę od młodzika do harcmistrza. Drużynowy 16 WDH „Grunwald” (2009-2012) i patrolu wędrowników „Włóczykije” (2012-2017), robił też parę mniej istotnych rzeczy. Historyk z zamięłowania, adwokat z przypadku, żonę poznał na mazowieckiej „Agricoli”. Stara się przysłużyć harcerstwu spoza organizacji, na tyle, na ile może.